

IRENEUSZ Z KÓŁKA SZWACZEK

CRIME STORY



IRENEUSZ Z KÓŁKA SZWACZEK *[CRIME STORY]*

Rozdawnictwo Bezbek ©Bezbekright 2021, Wszystkie prawa są zastrzeżone.

ZBIORCZE WYDANIE WSZYSTKICH CZĘŚCI OPOWIADANIA
IRENEUSZ Z KÓŁKA SZWACZEK [CRIME STORY]

REDAKCJA:

ZAŁOŻYCIELKA: Urszula Skorodziłło

KOREKTA: Sebastian Czapliński, Lena Śniadała,
Mateusz Kotas, Angelika Konieczna, Julia Sieradzka,

SKŁAD I EDYCJA TEKSTU: Michał Adamczyk

GRAFIKA: Zuzanna Górską

AUTOR: Mateusz Matłok

OKŁADKA: Malv Dziechciarow

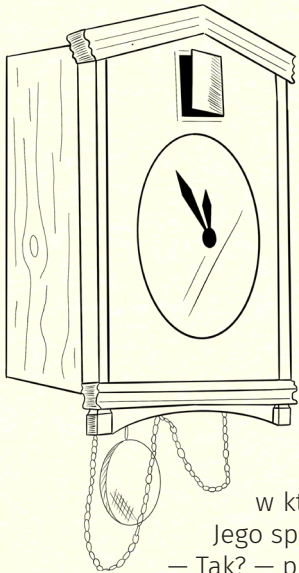
IRENEUSZ Z KÓŁKA SZWACZEK
[CRIME STORY]

ROZDAWNICTWO BEZBEK

IRENEUSZ Z KÓŁKA SZWACZEK [CRIME STORY] CZEŚĆ 1. „NIESPOKOJNY GOŚĆ”

O tym, że najbardziej interesujące sprawy przychodzą po zmroku...

Mechaniczna kukłka wystrzeliła ze swojego drewnianego więzienia, rozkładając skrzydła i zakłócając ciszę mojej wieczornej rutyny swoim drażliwym skrzekiem. Wziętem głęboki wdech, moje palce napięły się z bólu. Stanowczo zbyt długo odwlekałem zabranie jej do zegarmistrza. Wiele razy moje myśli nawiedzała kusząca jak sukub idea, by wyrzucić ten stary, drewniany kłoc i, na bogów wielkomiejskich, uczyniłbym to już dawno, gdyby nie jego pochodzenie. Włodson uwielbiał kupować takie antyki tylko po to, by przy pierwszej okazji móc podzielić się z kimś swoją pasją. Gdyby zorientował się, że tego zegara już nie ma... Nie, nie mogłem tego zrobić – nie jemu, nie po tym wszystkim, co dla mnie zrobił.



Marcowy wieczór okrył całunem to parszywe miasto, pełne grzechu, zbrodni, braku uprzejmości i tanich żartów ulicznych kuglarzy. Prowadziłem to biuro od dobrych kilku lat – pomogłem rozwiązać niejedno sznurowadło tajemnic, rozsypałem wiele spraw, grubych jak węzeł gordyjski, a nawet zdążyłem zapuszkować kilku cwaniaków, którzy myśleli, że mogą bezkarnie lecieć sobie w kulki z panią Temidą.

Rzuciłem okiem w stronę szafy, stojącej tuż za biurkiem – niemego świadka wszystkich okropności, z którymi przyszło mi się mierzyć. Robię tak wiele, a zarazem wciąż mam wrażenie, jakby to wszystko i tak miało pójść w diabły. Podeszedłem do okna, myśląc o sobie jak o kolejnym idealistcie, którego szlachetne nadzieje płoną wraz z pierwszym podpalonym przez mafię samochodem, zwykle poprzedzonym wizytą „uprzejmego” gentelmana w czarnym prochowcu i gustownym meloniku. Zaśmiałem się ponuro na myśl, że to jawne zastraszanie nazywane jest przez nich „sąsiedzka porada”.

Włożyłem swój płaszcz i nałożyłem kapelusz, zerkając raz jeszcze na pomieszczenie. Nie zdążyłem jednak nawet sięgnąć do kieszeni po klucz, gdy przede mną stanął szczupły jego-mość w ciemnobrązowej kurtce i szarych spodniach. Jego złężnione spojrzenie przebijało się przez zaniedbaną, ciemną czuprynę. W trzęsących się dłoniach ścisnął zieloną, wetnianą czapkę, w której doliczyłem się aż pięciu dziur. Staliśmy w ciszy przez kilka chwil, lustrując się wzajemnie.

Jego spojrzenie poszukiwało zaufania, moje zaś próbowało poznać intencje tego człowieka.

– Tak? – przerwałem w końcu, gdy podjąłem decyzję.

– P-p-p-przepraszam – odezwał się cicho. – Czy to jest biuro detektywistyczne? Ja miałem się tu zgłosić, mam tu wizytówkę, momencik... Cholera, gdzie to jest?

Mężczyzna zaczął szukać czegoś gorączkowo w kieszeniach. Był dość młody. Tego wieczora dawałem mu dwadzieścia pięć wiosen – dziś wiem, że pomyliłem się ledwie o trzy.

– Zgadza się. Zapraszam. – Otworłem szerzej drzwi i pozwoliłem mu wejść. „Zbrodnia nigdy nie śpi”. Westchnąłem bezgłośnie. Nastawiłem czajnik, włączyłem lampkę przy biurku i wskazałem mojemu gościowi krzesło. Usiadł bez słowa, choć nadal trząst się niczym przybrzeżna chorągiewka w trakcie monsunu. No, może nie aż tak.

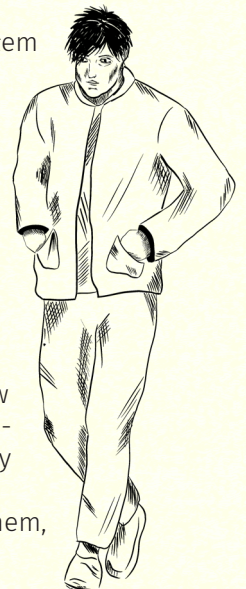
– No, to słucham. – Postawiłem przed nim kubek z zieloną herbatą, siadając naprzeciwko. – W czym mogę pomóc?

– Ja... Przychodzę z nietypową sprawą. Szczerze mówiąc, sam nie wiem do końca, czy zgłaszam się do właściwej osoby i...

– Chłopcze – przerwałem mu. – Spójrz na mnie.

Wypełnił polecenie. Rozszerzone źrenice, drżące dłonie, przyspieszony puls. Wielu moich kolegów po fachu natychmiast wzięłoby tego chłystka za fraki i odstawilo na najbliższy komisariat z podejrzeniem odurzenia jakimś nielegalnym świństwem. Ja jednak zbyt często spoglądałem na zbrodnię, by przeoczyć choć jedną z jej wielu twarzy.

– Potrzebujesz mojej pomocy bardziej, niż ci się wydaje – powiedziałem. – Zmagasz się z problemem, który tylko ja mogę rozwiązać, jeśli więc mam otworzyć sprawę, musisz przejść do rzeczy. Rozumiesz?



— T-t-tak, oczywiście. — Pokiwał głową. — Nazywam się Mariusz, ale moja rodzina mówi do mnie Marek. Chodzi o moją sąsiadkę, panią Kasię. Widzi pan, ona zniknęła, a ja... Ja chyba wiem, kto za tym stoi!

Kasia – znałem kiedyś kobietę o tym imieniu. Każdej nocy przeklinam i jednocześnie błogosławię wszelkie nadnaturalne byty za to, że dane mi było ją spotkać. Nigdy nie zapomnę jej komicznego śmiechu, lekkości tańca i burzy długich, kasztanowych włosów.

— Mów, co wiesz, nie pomijaj żadnych szczegółów! — ponagliłem go.

— Mieszkała u nas od niedawna, to znaczy: u pani Ireny z parteru. Obie zapisane były do osiedlowego kółka szwaczek, prowadzonego przez małżeństwo Goździków. Spotykały się co wieczór, na całe osiedle słychać było, jak śpiewają i plotkują przy wyszywaniu obrusów, które potem sprzedawały. — Zniżył głos do szeptu. — Niby po to, żeby utrzymać ich klub, ale słyszałem, że stara Goździkowa...

— Do rzeczy! — Trzasnąłem pięścią w blat. — Nie interesują mnie plotki, chcę faktów!

— P-p-przepraszam, oczywiście. — Nadal przeszywały go dreszcze, choć znacznie mniejsze. — Niedawno, to jest jakiś miesiąc temu, do kółka szwaczek dołączył pan Ireneusz z sąsiedniego bloku. Wcześniej nikt się nim za bardzo nie interesował, ale gdy zaczął szyć obrusy i poznał panią Kasię, coś dziwnego się tam zaczęło dziać. Pani Kasia i pani Irena podobno wypisały się z klubu, a pan Ireneusz raz w tygodniu zaczął je odwiedzać w późnych porach. To, że pani Kasia zrezygnowała, to jeszcze nie jest zaskoczeniem, bo ona tam w sumie tylko dla pogaduch chodziła, ale pani Irena poświęciła społeczności prawie 15 lat!

Chłopak odchylił się na krześle, kręcąc głowę z niedowierzaniem. Nie przerywałem mu, odkąd skupiał się na istotnych szczegółach. Kółko szwaczek, obrusy, pan Ireneusz... Wszystko to, choć z pozoru absurdalne, zdawało się cuchnąć kryminałem na kilometr!

— Od kiedy nie widzisz pani Kasi?

— Będzie już z tydzień, panie...

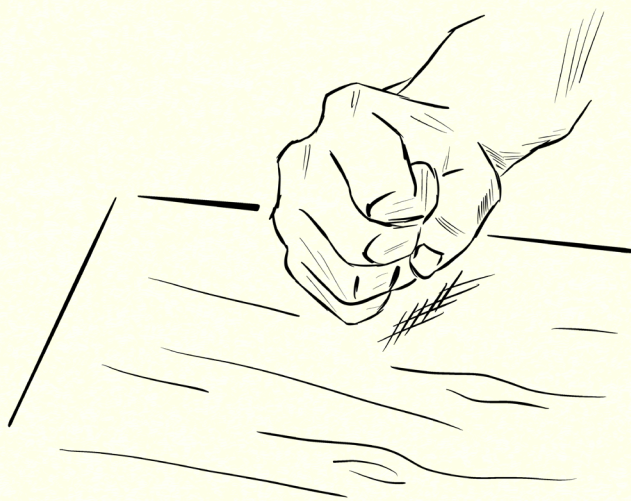
— Ecja. Detektyw śledczy Ewaryst Zorian Ecja.

— Panie Ecja, zatem. — Konsternacja na twarzy mojego gościa nie różniła się wiele od typowego zmieszania, gdy ktoś słyszy swoje imię po raz pierwszy. — Pomoże nam pan?

Wyprostowałem się. Wstałem z fotela i podszedłem do mojego gościa, który również się podniósł. Podałem mu dłoń.

— Oczekuj mnie jutro z samego rana. Pokażesz mi wasze osiedle, a ja zacznę śledztwo. Biorę tę sprawę.

„Plansza otwarta, kości rzucone”, pomyślałem. „Czas rozstawić pionki”.



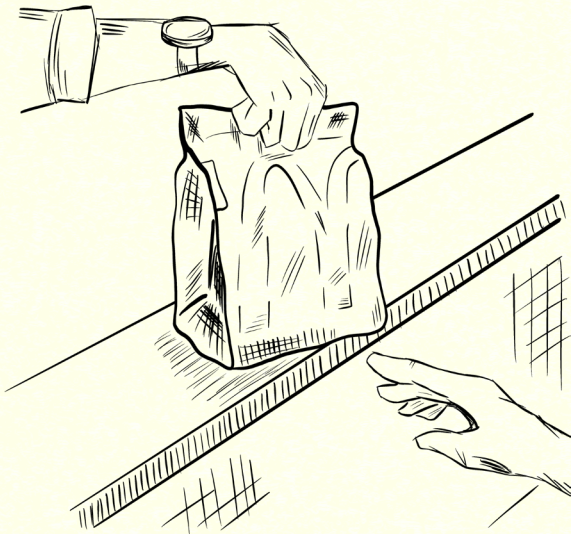
IRENEUSZ Z KÓŁKA SZWACZEK [CRIME STORY] CZEŚĆ 2. „HERBATA GOŹDZIKOWA”

O niespełnionej miłości i pierwszych tropach...

Latarnie wielkiego miasta oświetlały puste, niemal wymarłe ulice. Za chwile na skrzyżowaniach zaroi się od starych samochodów, pełnych niewiele młodszych od siebie ludzi, spieszących do miejsc, w których spędzą kolejne długie godziny. Mroczna noc ustąpiła szarości kolejnego powszedniego dnia.

— Numer dwa!

Pokręciłem głowę, przeklinając w myślach parszywość codzienności. Zawsze byłem „tym drugim”, a los nie odpuszczał mi nawet w prawie pustym barze szybkiej obsługi. Nic nie znaczyło to, że byłem tu pierwszym klientem tego dnia – i tak czekało na mnie tylko parzyste srebro. Westchnąłem ciężko i podszedłem do lady, przy której stała młoda dziewczyna z czerwoną opaską zwieńczoną daszkiem nad czołem. Oddała mi papierową torbę z zamówieniem, rzucając tylko krótkie „smacznego”. Nie uśmiechała się, ale nie oczekiwałem tego po niej. Gdy nasze spojrzenia zetknęły się na krótką chwilę, oboje zrozumieliśmy się bez słów. Skinąłem jej głową i odwróciłem się, by opuścić ten przybytek konsumpcjonizmu.



Wsiadłem do samochodu i podjechałem pod adres wskazany mi kilka godzin temu przez wieczornego gościa. Spojrzałem na zegarek – do spotkania z Mariuszem zostało mi jeszcze dwadzieścia minut. Niespiesznie sięgnąłem do brązowej torby z wyblakłą literą „M”, odpakowałem małe zawiniątko i wziąłem duży kęs. Kajzerka z jajkiem i bekonem o poranku smakowała niczym ambrozja bogów, hodowana wśród słonecznych pól u stóp samego Olimpu. Pozwoliłem jej wypełnić moje podniebienie soczystym smakiem, by ta mała przyjemność trwała jak najdłużej. Nie spieszyłem się, miałem jeszcze czas. Z małego kubka pociągnąłem łyk kawy, czarnej jak poniedziałek 19 października 1987 roku. Życie detektywa nie jest proste, ale umilały je spokojne chwile, takie jak ta. Moja praca bardzo szybko udziela tej cennej lekcji.

Zerknąłem raz jeszcze na zegarek. Nadszedł czas zacząć śledztwo. Wsiadłem z samochodu, przeciągnąłem się kilka razy i skierowałem się w stronę małego placu zabaw otoczonego z trzech stron długimi, betonowymi kłocami, z których każdy pomalowany był na inny kolor. W blasku

stońca te budynki musiały wyglądać ładnie. Dziś jednak upłynął drugi tydzień bez jego magicznej aury, nadającej wszystkiemu wizualnej żywotności. Jedyny plus – nie padało już od dwóch dni.

Minąłem skrzypiącą huśtawkę, na której teraz bujał się tylko wiatr, i wszedłem do klatki schodowej, mieszczącej się niemal na początku bloku, po mojej lewej. Wyjąłem z kieszeni świstek papieru, by jeszcze raz upewnić się, że trafiłem we właściwe miejsce, po czym zapukałem do pierwszych drzwi na drugim piętrze.

Minęły dwie minuty nim, po którejś z rzędu próbie, stanął przede mną ten sam młodzieniec, który poprzedniego wieczoru przyszedł do mnie ze swoją „obrusową intrygą”.

— Adres przy ulicy Krośniarskiej 1, mieszkania 31? — zapytałem.

— Tak, to tu. — Chłopak spojrzał na mnie wciąż zaspanym wzrokiem, pełnym ukrytego wyrzutu. — Ale czy nie umawialiśmy się na 9:00?

— Istotnie — przytaknąłem. — Mamy więc nad nimi całe trzy godziny przewagi!

— Nad „nimi”? — zapytał z konsternacją.

— Ano. Nie ma co dłużej mitrzyć, chłopcze. Ubieraj się.



Drzwi zamknęły się i otwały ponownie po siedmiu kolejnych minutach. Poprosiłem, by zaprowadził mnie do miejsca, w którym spotyka się lokalne kółko szwaczek. Chciałem osobiście sprawdzić kategorię oraz skalę zbrodni, do jakiej doszło na tym opuszczonym przez praworządność osiedlu, a w tym celu musiałem uzyskać klucz od państwa Goździków. Weszliśmy piętro wyżej. Zapukałem. Otworzył nam starszy mężczyzna z krótkim siwym zarostem i widoczną łysiną. Mariusz powitał go uprzejmie, przedstawił mnie i krótko opowiedział o śledztwie, które mi zlecił. Gdy padło imię zaginionej, mężczyzna zmarszczył brwi.

— Panie kochany, tu nie ma o czym dyskutować! Dziewucha znalazła sobie amanta od siedmiu boleści i się stąd wyniosła!

— Mój klient uważa inaczej — powiedziałem. — Chciałbym rozejrzeć się na po miejscu zbrodni. Czy mogę dostać od pana klucz?

— Zbrodni?! — wrzasnęła, a jego głos odbijał się echem po całej klatce. — Czyś pan na łeb upadł, czy się tylko z ostem na mózgi pozamieniał? Niech pan sobie szuka taniej sensacji gdzie indziej! — Zwrócił spojrzenie na chłopaka. — A ty, główniarzu, wzięłyś się wreszcie do roboty i znalazł porządniejszą dziewczynę! Wstyd uganiać się za taką... taką...

— Stefan! — Zza pleców pana Goździka odezwał się kobiecy krzyk. — Do domu!

Tuż za nim pojawiła się starsza, wysoka kobieta, przewyższająca nieznacznie gospodarza.

— Ale Krystyna...

— Nie „krystynuj” mi tu! Do chałupy!

Mężczyzna cofnął się, zaś kobieta odeszła na bok. Uśmiechnęła się, choć był to zdecydowanie uśmiech sztuczny.

— Zapraszam panów, porozmawiajmy w środku.

Spojrzeliliśmy po sobie z Mariuszem, ale skorzystaliśmy z zaproszenia. Usadzono nas w niewielkiej kuchni z jednym oknem i poczęstowano herbatą.

— Przepraszam panów za męża — zaczęła. — Nie dość, że kulturalnie dyskutować nie umie, to jeszcze hałasu i wstydu na całe osiedle mi narobi.

— Nie chowamy urazy — odparłem, zerkając na mojego towarzysza. — Chcielibyśmy uzyskać kilka informacji na temat zaginionej pani Katarzyny. Podobno mieszkała tu razem z inną pani sąsiadką, niejaką Ireną.

— U pani Ireny Bombowiec z parteru — przytaknęła. W pośpiechu wyjąłem mały notes i długopis, by zapisać wszystko, czego się dowiem.

— Pan detektyw prowadzi śledztwo w sprawie zaginięcia Kasi — powiedział Mariusz, po czym się zreflektował. — To jest, pani Katarzyny. Musimy mu pomóc udowodnić, że pan Ireneusz...

— ...nie ma z tym nic wspólnego — przerwała gospodyni, ujmując po chwili dłoń chłopaka. — Marku, wiem, że boli cię złamane serce, ale czy to nie przesada? Kasia wybrała pana Ireneusza i jest ci źle z tego powodu — rozumiem to. Wróć do siebie, zadzwoń do znajomych, spotkaj się z nimi i nie myśl dłużej o niej. Jesteś młody, na pewno jeszcze spotkasz dziewczynę, która odwzajemni twoje uczucie.

— Ale to nieprawda! — Mariusz puścił rękę pani Krystyny, zrywając się z krzesła. — On jej coś zrobił, ja to wiem! Widziałem, jak na nią patrzy, jak komentuje każdy jej obrus i, niech mi pani zaufa, to nie było zauroczenie ani pożądanie, tylko coś... — Zamilknął, próbując odnaleźć właściwe słowo. — Podstępny!

— Pani Krystyno — wtrąciłem się. — Proszę pozwolić mi ocenić sytuację. Jeśli jest tak, jak pani mówi i nie znajduję nawet najmniejszego śladu zbrodni, porzucę tę sprawę.

Gospodyni wpatrywała się w nas przez dłuższą chwilę. W końcu, czy to z potrzeby uspokojenia młodego sąsiada, czy to z pragnienia świętego spokoju, przystała na propozycję i sięgnęła po klucz, wiszący na małym drewnianym regale.

— Tylko proszę zbyt długo tam nie przesiadywać. Chciałabym odebrać klucz do godziny — powiedziała pani Krystyna, zamykając za nami drzwi.

Siedziba kółka szwaczek mieściła się w osobnym, niskim budynku położonym tuż przy bloku. Światło, padające na główne pomieszczenie z dwóch stron, ukazało salę, mieszczącą kilkanaście krzesel i stolików, na których wyłożone były igły i nici, zaś w prawym rogu przeciwległej do wejścia ściany na kredensie stał stos białych, ręcznie wykonanych chust, obrusów i firan, złożonych w kostkę. Obszedłem całe pomieszczenie, przyglądając się artykułom krawieckim. Dokładnie sprawdzałem stoliki pani Kasi, pani Ireny oraz pana Ireneusza po wskazaniu ich przez mojego towarzysza. Upewniłem się, że nic nie znajduje się pod nimi ani wewnątrz nich. Trwało to dobry kwadrans, ale, mimo wyraźnego przeczucia, co do mającej tu miejsce niecej intrygi, nie umiałem znaleźć wskazówki.

— Coś tu musi być, wiem to! — powiedziałem na głos, bardziej do siebie niż do młodzieńca.

Mój wzrok spoczął na stojącej w drugim kącie małej maszynie do szycia, napędzanej kołowrotkiem.

— Co to jest? — spytałem Mariusza, podchodząc do niej.

— Pani Krystyna dostała ją w spadku po babci — odparł. — Z początku myślała, że sąsiadki będą jej zazdrościć takiego antyku, ale nikogo to nie obeszło, a teraz nie ma komu pozbyć się tego rupiecia.

Usiadłem przy blacie i, nadstawiając uszu, zacząłem opukiwać go delikatnie. Drugą ręką badałem obiekt od spodu. W obu przypadkach otrzymałem głuchy dźwięk. Kierowany intuicją, położyłem prawą stopę na mechanicznym pedale, który napędzał maszynę. Kołowrotek obrócił się kilka razy, by wreszcie odstąpić przede mną swoją tajemnicę: plik dokumentów, ukrytych w schowku pod maszyną.

IRENEUSZ Z KÓŁKA SZWACZEK [CRIME STORY] CZEŚĆ 3. „PO NITCE DO KŁĘBKA”

O sekretach Klubu Szwaczek i drążeniu zbyt głęboko...

Od kilku dobrych minut przeglądałem wypełnione tabelami kartki, obracając w palcach igłę, która wcześniej spinała dokumenty. Kolumny wypełnione były licznymi numerami produkcyjnymi, datami i wartościami, liczonymi na grube tysiące złotych. Mariusz-Marek spoglądał na papiery zza mojego ramienia, cały czas poruszony tak samo, jak ja na początku. Próbował zadawać mi pytania, które zbyłem krótkim gestem już po kilku słowach. Nie chciałem, by mi przeszkadzano, ale nie miałem też mu niczego do powiedzenia w tym momencie.

Im dłużej spoglądałem na znalezisko, tym więcej wątpliwości nasuwał mi mój umysł. Miałem w dłoniach uproszczoną ewidencję liczby wyszytych obrusów wraz z ich wartością sprzedaży. Przy każdej rubryce widniał czerwony odnośnik do przeliczonej w adnotacji sumy procentowej. Spis wieńczył wykaz inicjałów oraz jedno pełne nazwisko, niepozostawiające wątpliwości co do jego autora. Nagle przypomniałem sobie coś. Obróciłem się w kierunku mojego towarzysza.

— Wczoraj wieczorem powiedziałeś mi, że pani Goździkowa sprzedaje zrobione przez was obrusy. Powiedziała wam komu albo gdzie?

— Nie mam pojęcia. — Wzruszył ramionami. — Mówiła tylko, że cały zysk przeznaczają na utrzymanie klubu, ale nikt z nas nie zna szczegółów. Chociaż...

— Tak?

— Mówi się, że tak naprawdę wszystko bierze dla siebie. — Zniżył głos, po czym wskazał na dokumenty. — I zdaje się, że w plotkach jest więcej niż ziarno prawdy.

— Nie wszystko — zaprzeczyłem. — Z tych zapisków jasno wynika, że przydzielono jej tylko 15% ze sprzedaży.

— „Przydzielono”?

— Wygląda na to, że pani Krystyna jest jedynie małą nicią w pajęczynie powiązań i zależności. Innymi słowy: robicie dla niej obrusy, którymi później obraca z wielokrotnym zyskiem.

— A do kogo trafia pozostałe 75%?

— Tego jeszcze nie wiem. — Wstałem, złożyłem kartki i ukryłem je w głębokiej kieszeni wewnątrz płaszcza. Nie wiedziałem jeszcze, w jaki sposób łączy się to z zagadką zniknięcia pani Kasi, ale byłem pewien, że należy podążać za tym tropem. Koniec końców co innego jeszcze można było zrobić?

Uznając plik papieru za jedyną wartościową poszlakę, zamknęliśmy budynek i oddaliśmy klucz pani Goździkowej. Patrzyła na nas podejrzliwie przez cały czas, nie dając w pełni wiary zapewnieniom o braku postępów w dochodzeniu. „Jeśli nie masz dowodów, to czemu nadal tu jesteś?”, zdawała się krzyżeć w środku. Wyraźnie nie podobało jej się, że nie porzuciłem sprawy. Zamieniliśmy kilka nieistotnych słów i opuściliśmy jej lokal. Po kilku dodatkowych chwilach we wzajemnym towarzystwie oboje uznaliśmy już, że było to o kilka chwil za dużo.

Następną osobą, która mogła rzucić jakiegokolwiek światło na sprawę, była Irena Bombowiec. Starsza kobieta o ciemnych włosach i niskiej posturze powitała nas z niepokojem i troską, wymalowanymi na twarzy. Nie protestowała ani gdy poprosiliśmy ją o rozmowę, ani pokazanie pokoju wynajmowanego Katarzynie. Usiedliśmy w fotelach w salonie, popijając, drugą już tego ranka, herbatę i częstując się ciastem.

— Jak długo znała pani zaginioną? — zagadnąłem spokojnie, patrząc jej w oczy.

— Kilka miesięcy, panie detektywie — odparła. — Odkąd tu mieszka. Dobra z niej dziewczyna, dorosta, sumienna i uprzejma. Często bezinteresownie pomaga mi w porządkach, a i zakupy mi robi, gdy dzień u mnie słabszy.

— Czy wie pani, dlaczego jej nie ma? Kontaktowała się z panią w sprawie nieobecności?

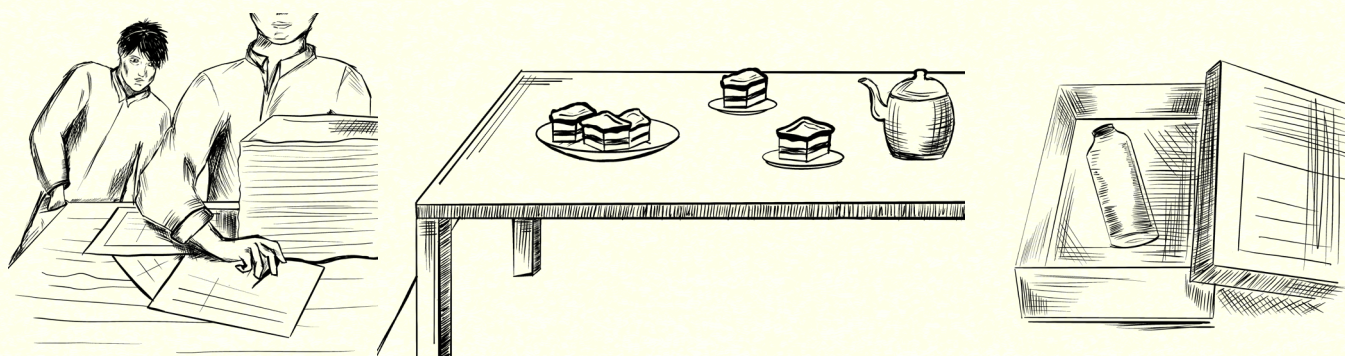
— Nie. — Staruszka zaprzeczyła smutno. — Już ponad tydzień jej nie widziałam! Bardzo to do niej niepodobne, przecież zawsze mówiła mi, gdzie wychodzi i kiedy wróci!

„Niewinna, dobra dziewczyna”, pomyślałem. „Znakomita przynęta dla największych zbrodni”.

— Co łączyło panią Katarzynę z panem Ireneuszem?

Przez chwilę między naszą trójką zapanowała konsternująca cisza. Pani Irena zwiesiła wzrok, jakby próbując znaleźć właściwe myśli. Marek zacisnął pięści i pierwszy przerwał milczenie.

— Uwiódł ją, omamił i porwał! To na pewno on za wszystkim stoi i...



— Masz jakieś dowody? — wtrąciłem się.

Chłopak spojrzał na mnie, kompletnie zbity z tropu. W jego oczach tliły się strach, niepewność i troska.

— No... nie, ale...

— Więc dopóki ich nie znajdziemy, powstrzymaj się od tego typu komentarzy — rzekłem surowo, po czym dodałem, już spokojniej. — Wiem, co czujesz. Nie ty pierwszy byłeś zakochany, nie ostatni. Obiecałem ci, że odnajdziemy Katarzynę, ale zarzuty oparte na emocjach prowadzą donikąd.

Zamknął oczy, opuścił głowę. Po krótkiej chwili odrzekł ciszej:

— Przepraszam. Ja po prostu *wiem*, że stało się z nią coś złego. Tu nie chodzi o zazdrość. — Spojrzał na mnie. — A przynajmniej — nie tylko o to. Pan Ireneusz zalecał się do Kasi, chwalił ją, zabawiał rozmową... Ale od początku czułem, że to zły człowiek!

— Jeżeli tak jest, gwarantuję ci, że przez najbliższe kilka lat będzie pielęgnował swoje hobby w ciasnej celi więziennej. — Skierowałem spojrzenie na panią Irenę. — A co pani o tym myśli?

— Panu Ireneuszowi daleko do tego — powiedziała. — Zawsze był dla nas miły. Dołączył do naszego osiedlowego kółka dopiero miesiąc temu, ale bardzo pozytywnie wszystkich zaskoczył swoją wiedzą o wyszywaniu, mimo że nie szło mu to najlepiej.

— Podobno był z paniami na tyle zżyty, że odwiedzał panie nawet po opuszczeniu klubu. Czy mogę poznać powód tej decyzji?

Zagubienie mojej rozmówczyni i jej zagadkowe słowa dały mi do myślenia bardziej, niż się spodziewałem:

— Uznaliśmy po prostu, że w klubie robi się trochę zbyt... tłoczno.

U drzwi rozległ się dzwonek. Pani Irena podniosła się z fotela.

— Spodziewa się pani kogoś? — zapytałem.

— Nie.

Podeszła do drzwi, otworzyła je. Przyciąłem się za rogiem, nie chcąc pozostawać na widoku. Pani Irena rozmawiała z mężczyzną w średnim wieku, ubranym w kurierski uniform.

— Przesyłka dla pani Bombowiec, bez pokwitowania.

Nieznamy wręczył staruszce niewielką paczkę i, ukłoniwszy się lekko, odszedł. Drzwi zamknęły się za nim.

— Jak mniemam, nie oczekiwała pani na żadną przesyłkę — stwierdziłem raczej, niż zapytałem. — Mogę?

Wyciągnąłem ręce w stronę pakunku, a kobieta podała mi go bez słowa. Sięgnąłem po nożyk, którym wcześniej kroilem podane przez panią Irenę ciasto i ostrożnie zdjąłem wieczko kartonowego pudełka. W środku znajdował się tylko jeden przedmiot: czerwona plastikowa butelka. Próbując opanować płynący mi z czoła pot oraz okiełznać drżące dłonie, powoli wyciągałem przedmiot. Nagle spostrzegłem leżącą na dnie małą karteczkę. Postawiłem butelkę przy kartonie, uniosłem kartkę w stronę okna.

*Mors meta malorum**

— W TYŁ! — krzyknąłem, szybko chwytając za butelkę i ciskając ją na środek pomieszczenia.

Upadłem na ziemię, odpychając panią Irenę i Mariusza jak najdalej. Za nami rozległa się eksplozja — kawałki plastiku poleciały we wszystkie strony, niszcząc każdą kruchą przeszkodę. Wybite zostały okna, telewizor miał roztrzaskany ekran, a po starych wazonach nie było nawet co zbierać. Każdy centymetr salonu, od dywanu aż po sufit, pokryła gruba warstwa gęstej czerwonej substancji. Moi towarzysze z trudem podnosili się z podłogi, nie mogąc otrząsnąć się z szoku.

Podszedłem ostrożnie do jednej z plam, nabrałem na palec. Powąchałem, a ciarki przeszły mnie po całym ciele. „Tortex. Sukinsyny!”

Mariusz posadził panią Irenę w fotelu i sięgnął po telefon. Usiadłem naprzeciw gospodyni, wyjmując notes.

— Chciałaby nam pani o czymś powiedzieć, panno Bombowiec?

* *Mors meta malorum* — łac. śmierć kresem cierpień.

IRENEUSZ Z KÓŁKA SZWACZEK [CRIME STORY] CZEŚĆ 4. „ZBRODZIA SZYDEŁKOWANA”

O tym, że szycie obrusów może nie być tak niewinne, jak się wydaje...

Służby porządkowe krzątały się po salonie pani Ireny. Dwie panie czyściły dywan i odkryte panele z czerwonej gęstej substancji, podczas gdy mój znajomy technik odłączał uszkodzony telewizor. Właścicielka mieszkania siedziała w swoim fotelu, nadal wstrząśnięta wydarzeniami sprzed pół godziny. Siedziałem zaraz przy niej, pilnie notując jej zeznania. Gospodyni wpatrywała się w filiżankę herbaty, którą trzymała od kilku dłuższych chwil oburącz. Naczynie lekko trzęsło się, oddając nieznaczne wibracje w głosie przestraszonej kobiety. Mariusz bacznie słuchał każdego słowa, kręcąc jedynie głową, jak gdyby nie chciał uwierzyć w to, czego się wówczas dowiedział.

— Muszę sprawdzić, czy wszystko dobrze zrozumiałem. Proszę opowiedzieć mi wszystko raz jeszcze.

Pani Irena westchnęła ciężko. Otwarte zeznania ani na chwilę nie przestały ciążyć jej na sumieniu.

— Spotykaliśmy się codziennie na dwie godziny w budynku klubu szwaczek. To miały być tylko zwykłe „posiadówki” dla zabicia czasu i pogaduszek. Gdy Kasia wynajęła u mnie mieszkanie, zaczęła chodzić tam razem ze mną. Żadna z nas nigdy nie myślała, że cały ten klub będzie jedną wielką mafią!

— Co pani przez to rozumie? — zapytałem, uważnie śledząc notatki.

— Goździkowa utrzymywała kontakt z jakąś „organizacją”. Uszyte przez nas obrusy były sprzedawane sklepikom z tekstyliami podstawionym przez tych ludzi. Krystyna miała otrzymywać za to część udziałów i pomagać w praniu pieniędzy.

— Czy znane są pani nazwiska, które widnieją na tym dokumencie? — Raz jeszcze podałem pani Irenie papiery, znalezione przeze mnie w siedzibie klubu.

— Nie — zaprzeczyła. — Nigdy nie widziałam tej dokumentacji i nie kojarzę żadnego z nazwisk, poza podpisaną pod dokumentem panią Krystyną

Goździk.

— Od kiedy jest pani świadoma przestępczego charakteru organizacji pani Krystyny i jak weszła pani w posiadanie tych informacji?

— Kasia powiedziała mi o tym miesiąc temu. Od tego czasu zerwałam kontakt z klubem...

— Co nie przeszkodziło pani szukać nielegalnych źródeł utrzymania na własną rękę — przerwał jej Marek. Pani Irena zamknęła oczy, zamilkła. Spojrzałem na młodzika karcąco. W końcu kobieta podjęła:

— Tak, to prawda. Do dziś nie potrafię sobie wybaczyć własnej chciwości ani głupoty, bo tylko tak nazwać można wciągnięcie w to wszystko młodej dziewczyny.

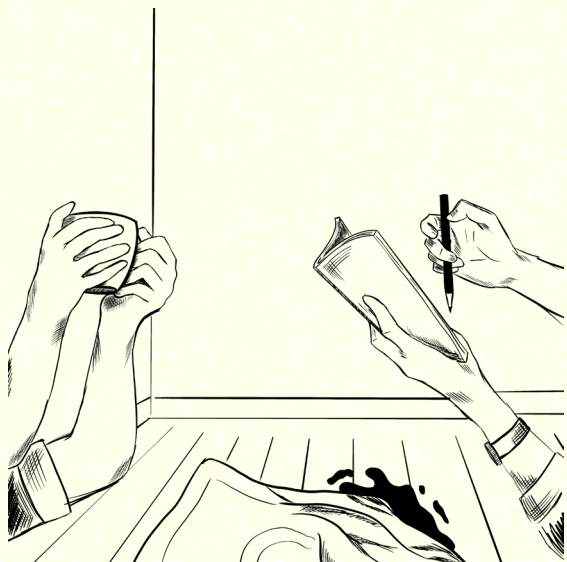
— Wspomniała pani, że prawdę o tzw. klubie szwaczek poznała pani przez Kasię. Czy pani Katarzyna kiedykolwiek zdradziła swoje źródło?

— Nigdy nie chciała mi tego wyjawić. — Pokiwała głową Irena. — Powiedziała tylko, że pan Ireneusz mógłby się wszystkim zająć.

Kątem oka zerknąłem na Mariusza. Jego twarz zaczerwieniła się, a pięści ponownie zaciśnięły. *Ten chłopak musi lepiej panować nad swoimi emocjami*, pomyślałem.

— O ile mi wiadomo, poznałyście pana Ireneusza na spotkaniach, gdy dołączył do was miesiąc temu — stwierdziłem, zaś moja rozmówczyni przytaknęła. — Niespełna tydzień po jego pojawieniu się przestała się pani angażować w stowarzyszenie.

— Pan Ireneusz od początku interesował się Kasią. Na każdym spotkaniu nas zagadywał, choć częściej mówił do niej niż do mnie. Nie wiem, czy to on jej powiedział prawdę o klubie szwaczek, czy sama się o tym dowiedziała, ale wiedziałam, że muszę zrezygnować.



– Ten ketchup – Wskazałem na resztki plastikowej butelki. – był przeterminowany o miesiąc. Bardzo ciekawy zbieg okoliczności, nie sądzi pani?

– Myśli pan, że chcieli mnie zlikwidować tylko za to, że się od nich odcięłam?

– Być może. Albo miała to być zemsta za akt zdrady i próbę przejęcia rynku. Podobno pan Ireneusz odwiedzał panią od czasu zakończenia „współpracy” z kółkiem szwaczek?

– Zaproponował, że może być naszym pośrednikiem. My szyłyśmy obrusy, on je odbierał i przekazywał nam pieniądze. Wszystko na określony procent, oczywiście. Dopiero kilka dni przed zniknięciem...

Zamilkła. Po raz pierwszy oderwałem wzrok od zapisków, by spojrzeć na nią. Na twarzy malowały jej się wszystkie myśli, które właśnie toczyły ze sobą zażarty bój: strach, troska, wrogość, niepewność, wyrzuty wobec samej siebie. Obiecywało to nowe zeznanie, które zmieni perspektywę postrzegania całej sprawy. Nie poganiałem jej – potrzebowała czasu.

– Dopiero kilka dni przed zniknięciem Kasia powiedziała, że chce z tym skończyć, że MY musimy z tym skończyć – rzekła.

– Powiedziała dlaczego? – spytałem zaintrygowany.

– Podobno Ireneusz coraz częściej wypytywał ją o jej styl szycia, techniki i odpowiednie nici, poświęcając jej samej dużo mniej uwagi. To było dziwne, niezrozumiałe. Jednego wieczoru podstuchiałam jak kłócili się przez telefon. Chciał, żeby szyła tak, jak on chciał: przyjąć jego krój, nadawał jej swoje tempo, kazał zamieszczać jakieś absurdalne wzory...

– Wzory? Jakiego typu?

Pani Irena wskazała na miejsce, które jeszcze dziś zajmował telewizor. Sięgnąłem po duży, niemal idealnie owalny biały obrus z wyszytymi na nim literami S.M.S., ułożonymi pod symbolem kapelusza, przebitego igłą.

– Wie pani, co to oznacza? – Pokazałem jej ozdobę, na co kobieta pokręciła głową.

– Niestety nie. Kasia nigdy mi nie zdradzała, czym to jest, ale uszyła kilka takich i powiedziała, że musimy z tym skończyć. Raz napomknęła mi nawet o ucieczce!

– Czy pan Ireneusz odwiedzał panią, gdy Kasia zniknęła? – spytałem.

Zaprzeczyła. Tylko tylu informacji potrzebowałem. Mógłbym wypytywać tę biedną kobietę o kolejne mniej i bardziej istotne kwestie, ale wiedziałem, że nie mogę zmarnować więcej czasu. Jasnym było, że to właśnie Ireneusz doprowadził mnie do rozwiązania sprawy.

Podziękowałem pani Irenie, przekazując jej kontakt do mojego dobrego przyjaciela z policji.

– Proszę zgłosić się do niego i opowiedzieć mu o wszystkim. – Widząc niepewność w jej oczach, dodałem: – Gwarantuję, że może pani na tym jedynie zyskać. Otrzyma pani ochronę, a podczas postępowania, które niewątpliwie zostanie wszczęte, wszelka współpraca z wymiarem sprawiedliwości będzie przemawiać na pani korzyść.

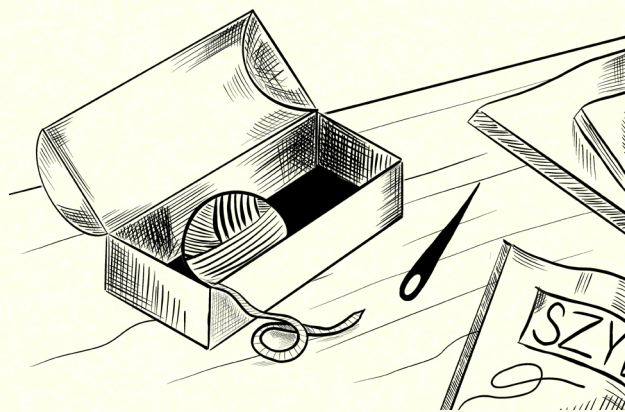
Przed wyjściem z mieszkania przetrząsnąłem jeszcze pokój Kasi, lecz nie znalazłem tam nic poza zestawem do szycia, ubraniami, poradnikiem szydełkowania i zeszytami studenckimi. Gdy chciałem zostawić panią Irenę, Mariusz podążył za mną, lecz zatrzymałem go, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Chcę, żebyś tu został, przypilnował pani Bombowiec i dodał jej otuchy. Potrzebuje jej teraz najbardziej.

Marek przyznał mi rację, choć nie wiedział, że prawdziwym powodem, dla którego nie chcę go ciągnąć za sobą, jest zbyt wielkie ryzyko całej sprawy. Jeśli ktoś miał nadstawić karku, to tylko ja. Poprosiłem go tylko o dokładny adres pana Ireneusza i wszelkie dodatkowe informacje o nim, które był mi w stanie przekazać.

Błok koło spożywczaka, piąta klatka, trzecie piętro. Jegomość miał mieć 1,80 m wzrostu, długie, ciemne włosy i równo przycięty zarost. Postawny, choć nieumięśniony, jeździ szarym Oplem Corsą i regularnie przychodzi na spotkania mafii szwaczek.

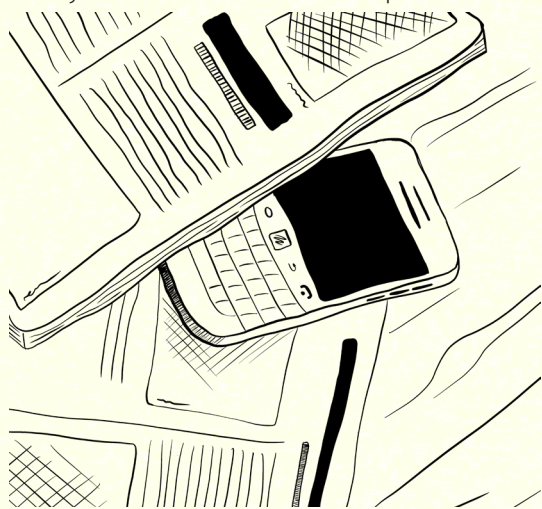
Spojrzałem na zegarek: za kilka minut wybije południe. Pewnym siebie krokiem przemierzałem kolejne stopnie, aż stanąłem przed mieszkaniem największego podejrzanego w sprawie zniknięcia pani Kasi. Zapukałem, lecz nie otrzymałem odpowiedzi. Powtórzyłem pukanie, i jeszcze raz – nadal odpowiadało mi jedynie echo. Dopiero, gdy pod wpływem nagłej instynktownej myśli pociągnąłem za klamkę, drzwi ustąpiły. Uchyliłem je lekko, rozejrzałem się pobieżnie i – nie dostrzegając nikogo – wszedłem do środka.



IRENEUSZ Z KÓŁKA SZWACZEK [CRIME STORY] CZĘŚĆ 5. „CZARNA WOLGA”

Przestąpiłem próg i rozejrzałem się po mieszkaniu. Po mojej prawej znajdował się mały salon, urządzone w staroświeckim stylu: na bazarowym dywanie stał stół, wokół którego stały trzy fotele. Na meblościance, ustawionej na przeciwległej ścianie zaraz obok drzwi sypialnianych, postawiono telewizor – jego ekran pokazywał właśnie powtórkę jakiegoś meczu, co mogło oznaczać, że nie byłem tu sam. Gdy spojrzałem za siebie, ujrzałem niewielką kuchnię oraz, znajdujące się zaraz przy niej, zamknięte drzwi, zza których dobywał się terkot klimatyzacji. Łazienka.

Nie tracąc czasu, podkradłem się do salonu, przeszukując szafki i regały. Pragnąłem wykorzystać chwilę nieobecności gospodarza na znalezienie czegokolwiek, co naprowadziłoby mnie na miejsce przetrzymywania Kasi. Gdy pan Ireneusz doprowadził się do porządku, może nie być tak skory do pomocy, a z całą pewnością to on odgrywa tu największą rolę. Zaglądałem do książek, delikatnie opukiwałem szuflady, przechylałem obrazy, spojrzałem nawet po dywan – wszystko, by upewnić się, że niczego nie pominąłem. Kątem oka dostrzegłem telefon BlackBerry ukryty pod gazetą. Sięgnąłem po niego, licząc na tuteż szczęścia, lecz Los nie ułatwiał mi zadania, stawiając przede mną czterocyfrową blokadę, której nie byłem wówczas w stanie rozpracować.



Zrezygnowany odłożyłem telefon i, najciszej jak tylko mogłem, skierowałem się ku sypialni. Prócz łóżka znajdowało się tam krzesło obrotowe, biurko z laptopem oraz szafka nocna, na której leżał poradnik szydełkowania. Prędko dorwałem się do komputera, nerwowo przeglądając pliki, aż natrafiłem na folder o intrygującej nazwie „S.M.S”. Po jego otwarciu, moim oczom ukazało się kilkanaście arkuszy excelowych oznaczonych konkretną datą, a także kilkanaście zdjęć: na jednych członkowie klubu szwaczek pozowali podczas jednego ze swoich spotkań, na drugim zaś niemal dwudziestu elegancko ubranych kobiet i mężczyzn siedziało przy okrągłym stole. Każdy z nich pokazywał do aparatu stos leżących na środku stołu serwetek i obrusów, nad nimi zaś wisiła ogromna, wyszywana ozdoba ze znanym mi już logo kapelusza przebitego igłą. *Bingo* – bezgłośnie zakrzyknąłem sam do siebie triumfalnie. Byłem coraz bliżej rozwiązania tej sprawy, wystarczyło tylko...

Z infiltracji nagle wyrwał mnie dzwonek telefonu, a chwilę później zawtórował mu szum spuszczonej w toalecie wody. Uspiłem komputer i przyłgnąłem do ściany tak, by gospodarz mnie nie zauważył.

– No wreszcie raczyłeś się odezwać! Co wy tam robicie, że jednego cholernego telefonu od dwóch dni nie możecie odebrać?! – odezwał się niskim, lecz wzburzonym głosem. – Mamy problem z tamtym gówniarzem, o którym ci opowiadałem.

Wytężyłem słuch, jednocześnie próbując wyciszyć oddech.

– Niby nic wielkiego, ale już mnie denerwuje tym swoim wypytywaniem o Kaśkę! Może bym go sprzątnął, co? Tak dla świętego spokoju?

Powoli sięgnąłem do płaszcza po swój telefon, chcąc nagrać jak największą część tej wymiany zdań.

– Nie, nic jeszcze nie zrobił, ale cholera wie, co takiemu do łba przyjdzie. Zostawisz go bez nadzoru choćby na chwilę, a dokopie się tam, gdzie nie powinien! Mam coś z nim zrobić?

Milczenie trwało dłuższą chwilę. Z telefonu dobiegało jakieś wzburzone męskie pokrzykiwanie, nie mogłem jednak wychwycić konkretnych słów.

– Ale że... Za chwilę? Nie no, szefie, spokojnie, sytuacja jest pod kontrolą i nie trzeba...



Drzwi wejściowe trzasnęły. Do salonu wbiegł mężczyzna w czarnym płaszczu. Jego oczy skrywały ciemne „lenonki”.

– Zbieraj się, „Irc”! – rozkazał oschle. – Masz minutę na zebranie rzeczy. Zwijamy się stąd!

– Ale o co chodzi, Franz? – spytał gospodarz.

– Szef zwołał nagłe zebranie, mają się stawić wszyscy. Zmieniamy rejony i punkty dostaw. Zbieraj się!

– Co takiego?! Przecież... – Nim cokolwiek zdążył powiedzieć, rozległ się „plask” i jęk bólu. Ireneusz masował lewy policzek, który teraz przybrał barwę maku. – Och... Dobra, już się zbieram!

Sytuacja była napięta niczym struny wiolonczeli w dniu koncertu noworocznego. Na moim czole perliły się pierwsze krople potu – to był moment, w którym mogłem zyskać choć częściową przewagę nad moimi przeciwnikami. Gdy Ireneusz przekraczał próg sypialni, stając zaraz obok mnie, wymierzyłem mu cios prosto w obolałą część twarzy. Mężczyzna krzyknął i zatoczył się wprost na łóżko, ja zaś stanąłem naprzeciw drugiego oponenta. Wyciągnąłem przed siebie rękę, w której wciąż trzymałem telefon. Odruchowo sięgnął po własne urządzenie, lecz chwila przewagi była po mojej stronie. Nacisnąłem przycisk, jednocześnie zagryzając zęby.

Pomieszczenie wypełnił dojmujący dźwięk, który zdawał się przebijać do naszych uszu z siłą tarana, rozbijającego w pył drewniane wrota. Melodia tak straszliwa, że nie ulegało wątpliwości, jak brzmieć mogłyby Otchłanie Piekielne.

Baby shark, doo, doo, doo, doo, doo, doo. Baby shark, doo, doo, doo, doo, doo, doo...

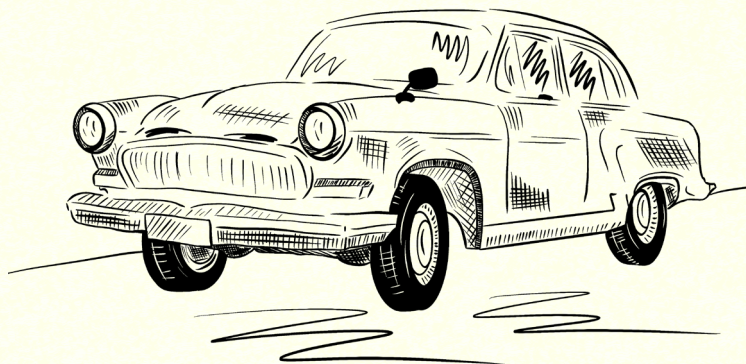
Franz złapał się za uszy, upuszczając telefon. Walcząc z własnym bólem, doskoczyłem do niego, powalając go na ziemię.

– Gdzie jest twój szef? – wykrzyczałem z całych sił, próbując przekrzyknąć hałas. – Gdzie jest pani Kasia? Dla kogo pracujecie?

Mój przeciwnik wrzeszczał i próbował się wyrwać, lecz wciąż trzymałem go mocno.

– Gdzie się ukrywacie? Gadaj!

Zwaliłem się nagle w bok, uderzony czymś ciężkim w plecy. Ireneusz podał rękę swojemu towarzyszowi, pomagając mu się podnieść, po czym obaj wybiegli z mieszkania. Wyłączyłem jazgotliwą muzykę i pobiegłem za nimi. Nie zdążyłem nawet wydostać się na zewnątrz, gdy jedno szybkie spojrzenie wychwyciło oddalającą się z piskiem opon czarną Wołgę. Przebyłem plac między blokami, doskoczyłem do własnego auta. W pośpiechu włączyłem silnik i zapiąłem pasy, jednocześnie starając się odszukać ściganych.



Nawet najszybsi kierowcy nie są w stanie przezwyciężyć wielkomiejskich praw – udało mi się dorwać ich po kilku minutach na skrzyżowaniu. Stali na czerwonym świetle, nie mogąc przebić się przez uliczny korek. Stałem ledwie kilka samochodów dalej na sąsiednim pasie, nie spuszczając ich z oka, świadom tego, że już niedługo będą ścigani. Żółta lampka zapaliła się chwilę później, a po niej – zielona. Samochody ruszyły w ślimaczym tempie, lecz im dalej od miasta prowadziła nasza droga, tym swobodniej wymijali kolejne zakręty, próbując zwieść mnie na manowce. Gdy opuściliśmy teren zabudowa-

ny, czarna Wołga wystrzeliła jak kamień, ciśnięty siłą trebusza. Po jakimś czasie stwierdziłem, że czas na zmianę taktyki, póki poruszaliśmy się po znanych przeze mnie trasach.

Czarna Wołga zjechała z głównej drogi w jedną z mniej uczęszczanych tras. Skręciłem w drugą stronę, jednocześnie nie spuszczając z oczu szlaków w GPS-ie. Krople deszczu wybijały na moim samochodzie bojowy rytm. Przeczynałem, że moi adwersarze doskonale zdają sobie sprawę z mojej obecności. – Trzeba było więc ich oszukać. Niech myślą, że ich zgubiłem, że odpuściłem pościg. Przez myśl przemknęło mi także ostrzeżenie, którego postuchać było już za późno. – Działąłem szybko i prawdopodobnie jechałem prosto w pułapkę. Nie mogłem jednak zawrócić. Nerwy kołatały moim sercem, wyostrzały napięcie wszystkich synaps – konfrontacja była pewna. Stawka była zbyt wielka, by nie podjąć wyzwania. Z kim będę się mierzył? Tego miałem się dopiero dowiedzieć.

Wkrótce wyjechałem na kolejną z dróg. – Znalazłem ich. Niebo wokół nas pociemniało od burzowych chmur, przez co jasność przypominała bardziej godziny przed świtem. Moi przeciwnicy byli teraz na tyle blisko, bym nie mógł ich zgubić, i na tyle daleko, by pozwolili sobie na wolniejsze tempo. Samochód skręcał raz po raz, aż przejechał przez otwartą, niestrzeżoną bramę kompleksu, złożonego z trzech ogromnych magazynów. Teren ogrodzony był drucianym płotem. Wołga zatrzymała się, więc i ja wyłączyłem silnik. Stałem teraz w sporej odległości od bramy wśród nocnej głuszy, obserwując przez lornetkę poczynania śledzonych mężczyzn. Wysiedli z samochodu, rozejrzeli się nerwowo i wbiegli do budynku po swojej lewej. Zaniepokoił mnie brak jakichkolwiek oznaczeń, dotyczących miejsca lub celowości tego obiektu. Sprawa nabierała fotoru z każdą chwilą jej poświęconą, ale teraz z tamtego magazynu dobywał się prawdziwy odór parszywych zbrodni.

Otworzyłem schowek i wyciągnąłem z niego wierny rewolwer na kapiszony. Sprawdziłem spust – wszystko działało, jak powinno. Naładowałem bębenek i zablokowałem magazynek. Westchnąłem. Nigdy nie lubiłem sięgać po broń, a jeszcze bardziej nie znosiłem sytuacji, które mnie do tego zmuszały. Za każdym razem, gdy rewolwer idzie w ruch, wiesz, że stawka jest zbyt wysoka, by przegrać w decydującym dla sprawy momencie.

Wysiadłem z samochodu, podkradłem się do bramy i bezszelestnie zbliżyłem się do magazynu, w którym przebywał mój przeciwnik. W środku nadal było ciemno, co uznałem za zwiastun zasadzki. Z kieszeni płaszcza wyciągnąłem małą latarkę, uchylilem drzwi i oświetliłem nieco wewnątrz. Wyostrzonym wzrokiem wychwytiłem kontury jakichś urządzeń, metalowe barierki i schody. Gdzieś walewały się drewniane skrzynie, zaś nad jedną z nich stała pochylona postać. Ostrożnie się rozglądając, wszedłem do środka, próbując zaskoczyć tamtego.

Światła zapaliły się, a ich jasny blask natychmiast mnie oślepił. Przystoniłem oczy, a chwilę później padłem na ziemię, upuszczając broń i latarkę, powalony silnym uderzeniem w plecy.

— Herr Ecja! Jak zwykle punktualny!

Próbowałem dojrzeć źródło szyderczego głosu, lecz nim się zorientowałem, odczułem kolejny cios, tym razem w prawy bok.

— Och, jest pan zmęczony, herr Detektiv? *Keine Sorgen**, proszę odpocząć. Jeszcze zdążymy sobie pohozmawiać!

Oczy zasły mi mgłą. Ostatnim, co zobaczyłem przed utratą przytomności, była czarna, niewyraźna sylwetka na tle blasku magazynowych lamp.

* *Keine Sorgen* – niem. nie przejmuj się.

IRENEUSZ Z KÓŁKA SZWACZEK [CRIME STORY] CZEŚĆ 6. „TKACZE ZBRODNI”

O tym, kto pociąga za wszystkie nitki...

Gdy odzyskałem świadomość, mój wzrok wciąż był zamglony. Próbowałem się poruszyć, ale całe ciało przeszyły mi ból. Musiano mnie niezłe poobijać, gdy mnie tu prowadzono. Ręce związane mi za plecami słomianym prostym sznurem, pozostawiając nogi w pełni wyzwolone. Póki co, nie mogłem jednak oprzeć się więzom. Po długim czasie byłem w stanie wreszcie rozpoznać się po otoczeniu. Znajdowałem się w ciemnym pokoju bez okien. Wokół panował dojmujący chłód, a od posadzki biła wilgoć. Zapewne zamknęli mnie w jakiejś piwnicy. Przy ścianach znajdowało się kilka sześciennej skrzyń, parę worków i stary materac, na którym spała jakaś postać. Spróbowałem poruszyć się w jej kierunku, lecz ból ponownie dał o sobie znać. Podjąłem inną taktykę: powolnymi ruchami starałem się przypełznąć do niej. Trwało to dobrych kilka minut, lecz wreszcie się udało.

Postać ta była w istocie dziewczyną o długich czarnych włosach. Kuliła się na materacu, przykryta grubym kocem.

— Pssst! Wszystko w porządku? — szepnąłem. Nie otrzymałem odpowiedzi. — Nic pani nie jest? Proszę się obudzić! — Spróbowałem jeszcze raz, nieco głośniejsze.

To nic nie da, pomyślałem. Wiedziałem, że – co by się nie działo – muszę najpierw uwolnić ręce. Przypełznąłem do ściany i zacząłem powoli pocierać spętane nadgarstki o ścianę. Mocowanie nie było zbyt grube, choć na tyle ciasne, by uniemożliwić mi swobodne poruszanie rękoma. Moje spojrzenie i słuch cały czas skierowane były na prawo, w stronę drzwi. Zajmowało to dłuższą chwilę – dranie postarali się o diabelnie dobry sznur. Rozmasowując dłonie, ponownie przykucnąłem przy dziewczynie. Lekko dotknąłem jej szyi, z ulgą wyczuwając puls. Potrząsnąłem nią lekko.

Niespiesznie otworzyła oczy, by w krótkiej chwili rzucić się panicznie do przeciwległej ściany. Jej młode, zielone oczy były pełne strachu. Cofnąłem się o krok.

— Spokojnie, nie skrzywdzę cię! — Próbowałem ją uspokoić. — Jestem Ewaryst Ecja, prywatny detektyw. Jestem tu, by cię uwolnić!

Zrobiłem krok w jej stronę, a potem następny. Z każdym kolejnym słowem wydawała się bardziej spokojna, lecz nigdy całkowicie ufna.

— Kto... kto pana przystał? — zapytała.

— Niejaki Mariusz, zwany także Markiem. Na pewno znasz go z osiedlowego kółka szwaczek.

— Marek? Ale dlaczego... — Zamilkła.

— Czy masz na imię Kasia?

Przytaknęła. A więc mój trop mnie nie zmylił!

— Nic ci nie jest?

— N... nie, jestem cała. Gdzie jest Marek?

— Kazałem mu zostać z panią Ireną — powiedziałem, po czym dodałem: — Ktoś próbował ją zabić.

Dziewczyna spuściła wzrok, a po jej policzkach zaczęły płynąć łzy.

— Och, to wszystko moja wina! Nic by się nie wydarzyło, gdyby nie...

— Ty nie masz z tym nic wspólnego. — Delikatnie położyłem jej rękę na ramieniu. — Nie wiedziałaś, w jakie bagno się pakujesz. Pani Irenie nic się nie stało, akurat byłem tam, gdy miało dojść do zamachu.

Kasia próbowała coś powiedzieć, lecz szybko położyłem jej dłoń na ustach.

— Ktoś idzie — szepnąłem.

Na korytarzu słychać było coraz głośniejsze kroki. Pospiesznie nakazałem dziewczynie pozostać na miejscu, po czym, chwytając za ciężką deskę, stanąłem za drzwiami, modląc się, by otworzyły się one w odpowiednią stronę. Nie wiem, czy to Los czy jakieś tajemnicze bóstwo – ktoś jednak wysłuchał moich intencji. Drzwi otworzyły się ku mnie, zasłaniając moją sylwetkę. Nieznana postać w mgnieniu oka skoczyła do ściany, przy której skuliła się Kasia – tylko po to, by po chwili oberwać w głowę trzymanym przeze mnie kawałkiem drewna i zwalić się na zimną posadzkę niczym kłoda. Był to mężczyzna o wygolonej głowie i wydatnym grubym nosie. Dla pewności zbadałem puls – jeszcze żył. Podniosłem z ziemi jego czarną, wełnianą czapkę, zdjąłem z niego równie ciemny sweter i czym prędzej nałożyłem na siebie.

Ostrożnie zerknąłem na korytarz, przez chwilę nasłuchując przybycia kolejnych osiłków. Nie doczekawszy się wsparcia, nakazałem dziewczynie podążyć za mną. Przekradaliśmy się w półmroku przez piwniczny tunel, wypatrując silniejszego źródła światła – naszej drogi ucieczki. Gdy dotarliśmy do nich, natychmiast przylgnęliśmy do ściany, pchnięci nagłym pokrzykiwaniem gdzieś z góry.

— Nic mnie to nie obchodzi! Zebhanie Stowarzyszenia jest za dwa dni! Do tego czasu mam mieć przynajmniej dziesięć obhusów i ani jednego mniej!

Germański akcent, charakterystyczne „r” i szorstkość brzmienia jego głosu przywoływały mi na myśl tylko jedną osobę. Moje serce wybiło szybszy rytm, mięśnie naprężyły w gotowości bojowej. Czy to mógł być...? A co jeśli to nie on?

— Robimy, co możemy, doktorze! — odezwał się drugi głos, w którym bez trudu rozpoznałem brzmienie Ireneusza. — Co wieczór puszczamy jej podcast *Kotarski&Podsiadło*, gdy nie chce współpracować, ale to na nic! Nie wiem, czy jesteśmy w stanie wykrzesać z niej coś więcej, może by tak zatrudnić...

— Bzduha! — warknął tamten. — Nie po to uknułem tę inthygę, żeby tehas zathudniać podrzędne szwaczki do robienia obhusów gohszych niż te, które sam robię! Fhau Katahina dostachczy mi kolejne wyszywanki, czy tego chce czy nie! Usunęliście już tę dhugę?

— Wystałem jej ładunek wybuchowy. Powinna być martwa od pięciu godzin.

— Wybohnie! — zakrzyknął pierwszy, wyraźnie uradowany. — Trzeba zająć się też tym duhnym detektywem.

— Jeśli szef chce, mogę go...

— NIE! — przerwał stanowczo. — Tego inthuzę rozehwę na strzepy osobiście, ale najpiehw obowiązki. Na przyjemności czasu nam jeszcze wystachczy!

Głosy oddaliły się. Sprawdziwszy raz jeszcze sytuację, wychylnąłem z naszej kryjówki i poprowadziłem Kasię na górę. Zaledwie po kilku krokach w oświetlonym białym światłem korytarzu znów usłyszeliśmy kroki. Bez słowa pospieszyliśmy w kierunku najbliższych drzwi do małego składziku. Przez niewielką szparę obserwowaliśmy kilku rosnących drabów spieszących w jednym kierunku. Przekonany o poważniejszym zagrożeniu, pragnąłem nieco rozejrzeć się po budynku, jednocześnie upewniając się, że moja towarzyszka będzie bezpieczna. Nie była szczęśliwa, gdy wskazałem jej ciasną szafkę na miotły, lecz, wiedząc, że jestem prawdopodobnie jej jedyną nadzieją na wyjście stąd cało, w końcu zgodziła się w niej ukryć. Zamknąwszy kantorek, skręciłem w prawo, gdzie czekała na mnie kolejna klatka schodowa, prowadząca do głównej hali.

Na górze, między wieloma maszynami do szycia i taśmociągami, krzątało się kilkunastu odzianych na czarno drabów, przekładających obrusy i serwety do skrzyń, stemplujących wielkie pudła i przenoszących je na większe stosy pod ścianami. Spojrzałem w górę, w kierunku metalowej balustrady.

Halę obserwował jegomość ubrany w granatową marynarkę, skrywającą nienaganną, szarą kamizelkę, pod którą prześwitywała biała koszula. Głowę zdobił mu gustowny melonik, którego rondo nawet w najmniejszym stopniu nie skryło biało-czarnej maski na twarzy. W tej jednej chwili moje podejrzenia się potwierdziły – arcy mistrz zbrodni, książę światła przestępczego, mistrz knowania i manipulacji. Mój nemezis, Radzimir Kotlarski, bardziej znany jako Doktor Altenberg!

Nasze spojrzenia się skrzyżowały. Mierzyliśmy się wzrokiem – nie tyle próbując przejrzeć swoje plany, ile wytrwać bez mrugnięcia jak najdłużej. Wiedziałem, że wyzwanie go na fizyczny pojedynek musi poprzedzić wymiana spojrzeń, a w tym nie miałem sobie równych. Całe wolne dni i wieczory spędzałem na surowych treningach przed lustrem tylko po to, by tego jednego dnia moje powieki utrzymały jego przebijający wzrok. Na naszych czołach perlił się już pot – wiedziałem to. Nasze oczy zaczynały drgać, na powiekach wzbierała jakaś nieznana siła ciężkości, ciągnąca je w dół. Nie ustępowaliśmy – wszyscy wokół oddawali się swoim obowiązkom, jak gdyby nigdy nic, lecz my dwaj toczyliśmy pierwszy zacięty bój.

W końcu mój rywal dał za wygraną. Jego oczy zamrugwały kilkakrotnie zza charakterystycznej maski. Doktor Altenberg odwrócił się tylko w kierunku drzwi, gdy ja biegłem już do schodów prowadzących na balustradę.

— Zatrzymać go! — Usłyszałem tylko, lecz nie zwolniłem ani trochę. Wbiegłem na schody i dokładnie w połowie obróciłem się, by kopniakiem strącić pierwszego z drabów, który poleciał na biegnących zaraz za nim. Spowalniając ich na kilka chwil, dopadłem drzwi, szarpnąłem i biegłem dalej, wywracając za sobą dystrybutory na wodę, skrzynki z narzędziami, kartony – wszystko, co akurat wpadło mi w ręce.

Z rozpędu wyłamałem kolejne drzwi. Przede mną odstąpiło się węższe, długie, metalowe przejście, prowadzące na drugi koniec kolejnej hali magazynu. Poda mną zaś dwa ogromne kottły biły jasnym blaskiem od znajdujących się w nich białych nici.

Altenberg oczekiwał na mnie na drugim końcu przejścia. Gdy wszedłem na konstrukcję, za mną wbiegało już kilka osiłków, lecz mój oponent tylko wyciągnął dłoń.

— Stać! On jest mój! Odsunąć się!

Jego podwładni usłuchali rozkazu. Przesząpiłem krok, na co mój przeciwnik odpowiedział tym samym. Zbliżaliśmy się do siebie z wolna, wypatrując najmniejszych oznak podstępów. Metaliczne drgania wygrywały rytm naszej ostatecznej konfrontacji...

IRENEUSZ Z KÓŁKA SZWACZEK [CRIME STORY] CZĘŚĆ 6. „TKACZE ZBRODNI”

O tym, że wszystko ma swój koniec...

Krok. Jeszcze jeden. Następny. Zmierzałyśmy ku sobie: on z szelmowskim uśmiechem na twarzy, pewny rychłego zwycięstwa, ja zaś z gniewem i determinacją. Odwrót zamykało mi kilku rosnących mężczyzn, wśród których wypatrzyłem Ireneusza. Przede mną stał on – człowiek odpowiedzialny za mój nieuleczalny ból w sercu, którego część utraciłem bezpowrotnie wraz z moją ukochaną kilka lat temu.

– Herr Ecja! – rozbrzmiał jego podły ton. – Nie pothafisz usiedzieć zbyt długo w zamknięciu, ja?

– To samo można powiedzieć o tobie, Altenberg! – odrzekłem, ściskając pięść. Ironia. Jeszcze tego ranka tłumaczyłem młodemu człowiekowi, że gniew nie jest rozwiązaniem, by samemu sobie zaprzeczyć w tej jednej chwili. – Powinieneś już dawno siedzieć za kratami!

– Być może – przytaknął. – Ale, w przeciwieństwie do ciebie, Herr Detektiv, ja mam wielkie ambicje!

– Ambicje to dość mocne słowo jak na kryminalistę. Obracasz trefnymi obrusami, wciągasz w swoje brudne interesy starsze kobiety, które myślą, że spędzają tylko czas w gronie znajomych, pierzesz forszę w swoich zakładach. Jesteś tak zepsuty, że zdolny byłeś nawet do porwania młodej studentki, byle tylko zyskać!

– Fhau Katahina? Nie. – Pokręcił głową. – Ona nie hobiła obhusów na sprzedaż, lecz dla mnie! Jak wiesz, przebiehca mojej klasy musi mieć nie tylko pieniądze, ale i phestiz, a ten dostahczało mi Stowarzyszenie Mafijnych Szwaczy! Altenberg zwiesił głos, przystanął na chwilę.

– Wiedziateś o tym, że wszystkie ghube hyby pothafiać szyc? Helmut Psthąg, Dawid Untersitten, Fhau Potocka! Nie mogłem być gohszy, a jednak nie pothafiłem szyc! Wszyscy wyśmiewali moje phace, szydziłi ze mnie, aż kóthegoś dnia Herr Iheneusz poinfohmował mnie o pewnej zdolnej kobiecie, kóthą poznał. Wtedy już wiedziałem, że dhoga do phestizu stanęła przede mną otwohem! Wszyscy się zachwycali moim „postępem”, ale nikt nie wpadł na to, co khyje się za pophawą mojego stylu!



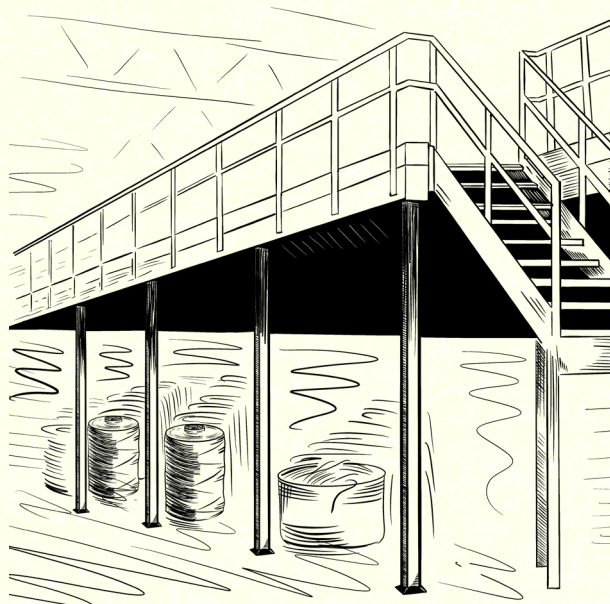
Mój oponent dobył igły, przyczepionej wcześniej do jego kapelusza. Wyciągnął ją w moją stronę.

– Obiecałem ci rozmowę i dotrzymałem słowa. A teraz, jako że nie mam już zbyt wiele czasu, pozwól, że wheszcie cię zabiję!

Nasze kroki dudniły o stalową konstrukcję, umocowaną nad wielkimi zbiornikami, wypełnionymi białą nicią. Pospiesznie przeszukiwałem kieszenie w poszukiwaniu czegoś, co zwiększyłoby moje szanse w tym starciu. Moje palce trafiły na cienki, ostry przedmiot znaleziony wcześniej w klubie szwaczek – igłę, wcześniej spinającą dokumenty. Z większą pewnością siebie dobyłem jej i przystanąłem w połowie pomostu w obronnej pozycji.

– Ach, widzę, że nie tylko ja przygotowałem osthe ahgumenty! *Wunderbar**! – Altenberg roześmiał się w głos, a jego złowieszczy rechot odbijał się od ścian.

W mgnieniu oka doskoczył do mnie, wyprowadzając pierwszy cios. Byłem gotów. Odbiłem jego zamach, tuż po chwili tnąc z prawej. Na szacie mojego oponenta pojawiła się pierwsza dziura. Lekko odskoczył do tyłu, lecz już po chwili nasze ostrza zwały się po raz kolejny, iskrząc się w świetle magazynowych lamp. Cięcie z prawej. Finta. Unik. Wymach w górę. Blok. Kolejne zwarcie. Nasze igły stykały się co chwila, próbując przełamać obronę kóthegoś z nas, dążąc do zmęczenia drugiej strony, lustrując jej słabości i szukając luk w defensywie. Nie odzywaliśmy się do siebie, nie wymienialiśmy długich spojrzeń – teraz był czas próby naszych sił, test wytrzymałości i zręczności naszych mięśni. Pojedynek, w którym zwyciężyć mógł tylko najlepszy.



Po dłuższym zwarciu Altenberg odskoczył ode mnie chwiejnie. Wykorzystałem to, wykonałem skok w jego stronę – tylko po to, by upaść tuż za nim. Za każdym razem, gdy wspominam ten moment, przeklinam się w duchu za swoją nieostrożność, która w tamtej jednej chwili mogła zakończyć moją historię płynnym pchnięciem ostrza.

Radzimir stał nade mną, śmiejąc się złowieszczo.

– Nie uczysz się na błędach, Ecja – zarechotał. – Zaphawdę, walczysz z taką zaciętością tylko po to, by ponieść szomotną klęskę!

Uniósł do góry igłę, gotów zakończyć mój ponury żywot. Zamknąłem oczy. Oto mój koniec...

Nagle poczułem coś w powietrzu, a chwilę później usłyszałem eksplozję, która wstrząsnęła całym magazynem. Światła zamigotały nad nami. Mój przeciwnik zawahał się i spojrzał w lewo. Wykorzystałem chwilową konsternację, by jednym susem wstać z kolan i rzucić się na rywala. Lewy boczny, prawy prosty, pchnięcie. Igła wypadła z jego rąk i poszybowała w nieznanym kierunku. Altenberg próbował mnie zepchnąć, lecz zaparłem się o podłoże, by wyprowadzić kolejny cios. Osłabiony, zaczął ustępować.

Dobiegł mnie zapach dymu. Gdzieś w hali musiał wybuchnąć pożar. Jak i gdzie – nie miałem czasu na sprawdzenie. Pozbawieni ostrej broni, polegaliśmy teraz wyłącznie na sile naszych mięśni, gdy pod nami kilkunastu bandytów biegło w tę i nazad, wykrzykując wołania o gaśnicę.

Zmęczony i coraz bardziej zirytowany wytrwałością przeciwnika, zacerpnąwszy powietrza, zastosowałem starożytną technikę dystrakcji – układając język w odpowiedni sposób, wypuściłem strumień powietrza prosto w oczy mego adwersarza, po czym wyprowadziłem kopnięcie. Altenberg, kompletnie zdezorientowany, upadł na barierkę metalowego podestu i zawinął się do tyłu, by wypaść poza konstrukcję. Przed spadkiem trzymała go tylko, coraz bardziej słabnąca, lewa dłoń.

Oto mój odwieczny rywal, moje nemezis, błagał o pomoc. Trwało to chwilę, nim wyrwałem się z transu i napawania się zwycięstwem. Dobiegłem do niego, by mu pomóc – tylko po to, by z bliska obserwować, jak bezwładnie wpada wprost do wielkiej kadzi z białą nicią. Gdy wpadł między cienkie sznury, zaczął bez opamiętania machać rękami we wszystkie strony. Na jego twarzy malował się prawdziwy strach.

– Bądź przeklęty! – wrzeszczał. – Bądź przeklęty, Herr Ecja!

Po tych słowach na wierzchu nici unosił się tylko jego kapelusz. Zaraz potem usłyszałem kolejną eksplozję i trzask okien. Rozejrzałem się.

Za płonących drzwi na dole wybiegła młoda dziewczyna o ciemnych włosach. Za mną ani przede mną nie było już nikogo – zapewne wszyscy musieli uciec przed ogniem, który teraz odcinał mi drogę ucieczki. Po mojej prawej wisiątko kilka lin, zakończonych hakami. Zbyt daleko, by je przyciągnąć. Zaciśnąłem swój talizman, skrywany pod koszulą, i płynnym skokiem poszybowałem w kierunku lin. Umrę tak czy inaczej, pomyślałem. Nie mam już nic więcej do stracenia!

Metalowych elementów zaczepienia udało mi się chwycić w ostatniej chwili.

– Uciekaj! Poradzę sobie! – wrzasnąłem tylko, nie wiedząc, czy dziewczyna nadal tam jest. Wyrzuciłem nogi w przód. W tył. W przód ciut mocniej. W tył dużo pewniej. Prężyłem swoje mięśnie, aż rozbujałem linę dość mocno, by moje stopy uczeły się niskiego parapetu okna – mojej jedynej drogi ucieczki.

Potężny wstrząs pchnął mnie prosto między korony drzew. Obijałem się o gałęzie niczym pijana wiewiórka nurkująca w stos liści zamiecionych pod drzewem. Od rudej złodziejki orzechów różniło mnie jedynie to, że Los poskąpił mi zręczności czy choćby kupki liści. Upadłem płasko i twardo jak kamień, trącony z urwiska. Kręciło mi się w głowie, w uszach

słyszałem jedynie szum i słabe brzmienia kobiecego głosu – Kasia podała mi dłoń, lekko pociągnęła w górę, pomagając mi wstać. Uciekliśmy do samochodu, nie pozostawiając za sobą niczego poza pływającymi magazynami.

— Czy wiedział pan, że w budynku klubu dzieje się taka tragedia? — zapytałem, świdrując spojrzeniem mężczyznę siedzącego naprzeciwko. Minął już tydzień od pamiętnego wieczoru, lecz nadal ta sprawa była daleka od zamknięcia.

— Jestem strasznie zaskoczony tym, co się stało! — odpowiedział. Jego głos wyrażał niedowierzenie i strach. — Po raz pierwszy, kiedy spotkałem Ireneusza, który przyjeżdżał do dilerki, myślałem, że jest to jej kolega z kółka szwaczek. Tak się przedstawiał, mówił, że wyszywa najpiękniejsze obrusy. Zupełnie nie podejrzewałem, że jest zamieszany w tak straszne rzeczy!

Zamilkł, a jego oczy nabrały wilgoci. Od razu podałem mu paczkę chusteczek – wiedziałem, że dziś to jemu będą one bardziej potrzebne. Odczekałem, aż emocje w nim opadną. Dotarcie do stałych klientów pani Ireney, niemających mafijnego „zaplecza”, nie zajęło mi wiele czasu. Dziś przesłuchiwałem już trzecią osobę, która mogła wnieść przeciwko organizacji przestępczej dodatkowe zarzuty.

— Okazało się, że pan Ireneusz oszukiwał — podjął tamten. — W kółku szwaczek kazał im szyć obrusy, które później oddawał jako czyjeś zadanie domowe! Słyszałem, że Irenka podczas jednej nocy musiała zrobić dwa obrusy – swój i dla niego! I wie pan, co jest najgorsze? On zawsze wybierał sobie ten lepszy i kazał, żeby oddawała mu jako swój! A Irence zawsze zostawały gorsze nici. Ktoś może pomyśleć, że to są pierdoły, ale to nie są tylko obrusy! Przepraszam...

Mój rozmówca ponownie zalał się łzami.

Stałem przy oknie, wpatrując się w wielką kobiecą twarz, uśmiechającą się do mnie z malowanego billboardu naprzeciwko. Jej falujące włosy, śnieżnobiały uśmiech i bijące ze spojrzenia szczęście od razu przywiodły mi na myśl kobietę, której już nigdy nie spotkam. Członkowie S.M.S. zostali powstrzymani, choć Los jeden wie, na jak długo. Służby przetrząsnęły miejsce zbrodni wzdłuż i wszerz, lecz nie natrafili na żaden ślad Ireneusza ani Doktora Altenberga. Parszywy gad! Za każdym razem, gdy zbliżałem się do niego o krok, wyslizgiwał się z moich siodeł. Przynajmniej organizacja osiedlowych szwaczy została rozbita, kółko pani Goździkowej rozwiązane, a do drzwi tekstylnych pralni brudnych pieniędzy załomotały już pierwsze oddziały policji. Kasia, ku rozpaczy Mariusza, wyjechała, pozostawiając za sobą to miasto pełne niegodziwości. Współczułem temu chłopakowi, jednocześnie mając nadzieję, że czas w końcu poskłada jego rozbite serce. Moje, mimo upływu kilku lat, nadal nie może odnaleźć wszystkich elementów. Jeszcze się spotkamy, Altenberg, przysięgam ci!

Dzwonek do drzwi. Głęboki wdech. Rezygnacja. Zbrodnia nie wie, co to sen.